

Władysław Konopczyński

# Królobójstwo w Polsce

Polak niechętnie podnosił rękę na swych królów. Stara to prawda i bardzo zrozumiała. Popierwsze, królobójstwo było zbyteczne, bo od dawienadawna nikt nie doznawał królewskiej tyranji, powtóre, każdy, kto chciał się mścić za mniemaną krzywdę, mógł podnieść rokosz albo zerwać sejm, potrzebie, co najważniejsza, wolna elekcja stwarzała między wybrańcem i wyborcami osobliwy moralny związek, właśnie dlatego, że była wolna. Zresztą i dulcis sanguis Polonorum nie ląknęła krwi pomazańca. Zw strzał do Zygmunta I (w r. 1523) pozostaje odosobnioną zagadką i niewiadomą, czy wogóle wyszedł z polskiej rusznicy. Półobłąkany fanatyk kalwin Piekarski, co godził na życie Zygmunta III (1620), niejako płacił rachunek za czyny katolickich Gérardów i Ravailac'ów. Pogłoszek o zamachach trucielijskich nie brakło, ani za Batorego, ani za Sobieskiego, ale do zbrodniczych zamachów nie dochodziło.

Dopiero narzucony przemocą i uległy wobec przemocy Stanisław August ściągnął na siebie tytuł królobójców, iluby ich wystarczyło na całą dynastję. Nie mówimy, rzecz prosta ani o Pułaskim, ani o jego narzędziach: Strawińskim, Łukawskim i towarzyszach, ci bowiem ostatni, aż zbyt dobitnie dowiedli, że o gło-wia królewskiej nie „myśleli”, skoro ją, mając w ręku przez kilkanaście godzin, zostawili na karaku: widocznie mieli rozkaz porwać „ciolka” żywcem i owa rana, którą król odniósł w pamiętnej nocy 3/4 listopada, i którą potem wypominał narodowi (w mowie sejmowej 1776 roku), jako najwzmowniejszą pamiętkę po konfederatach, została zadana przypadkiem, nad program.

Ale na czyn Strawińskiego składały się potrosze inne usiłowania. Rulhière w „Dziejach anarchji” pisze, zapewne na podstawie ustnych rewelacji konfederatów, że już w r. 1766, podczas tragicznego sejmiku Czaplicka, kiedy król z narażeniem tronu walczył o reformę sejmową, opozycja wówczas współdziałała w tej sprawie z Rosją i Prusami, propagowała legendę o rokoszu glińskijskim za Ludwika Węgierskiego, kiedy to miano wymordować zaprzędanych królowi senatorów; ze szczególną gwałtownością agitowali tak dwaj Mazurówie, Tressenberg i Zakrzewski, gdy sześciu ich towarzyszy, uknuwszy z nimi spisek, zamierzali przy pierwszym tłumie zabici Stanisława i jego krewniaków. Do zamachu nie doszło, Zakrzewski ubóstwiany przez pospólstwo warszawskie zginął później w walce z Drewnicem pod Tykocinem 20 kwietnia 1769 r., a Tressenberg padł pod Pilznem 15. V. 1770 r., okryty dwudziestu ranami.

W relacjach toruńczyka Gerata, czytamy pod datą 17 marca 1768 r. wiadomość nadzwyczajną: „Przed tygodniem zaszedł tu dziwny wypadek. Król jechał wieczorem około 10 godziny parokonnym powozem z paru tylko hajdukami do Lhullirerowej; wtem kilka osób napadło na powóz. Król wyskakuje czempredzej, a ponieważ rzecz dzieje się już na rogu ulicy, gdzie mieszka Lhullirerowa, wpada do jej domu. Jednego haj-

Zdzisław Broncel

## Obywatele na prowincji

Po przeczytaniu „Prowincjuszy” \*) Łopalewskiego zostaje wrażenie podobne, jak wtedy, gdy, bawiąc we dworze na wakacjach, z półek biblioteki wyciągało się tomy Korzeniowskiego i zagłębiało w perypetje „Kollokacji”.

Podobna atmosfera, podobny ton, podobni bohaterowie. Pokazywanie ludzkich śmieszności, kontrast między dętą wielkością lokalnych luminarzy i ich istotnością, poczciwym „ubóstwem ducha”. Coś z salonu państwa Plachtów zabłąkało się do „Prowincjuszy”, do Zawadowa nad Rajnią, miasteczka prowincjonalnego w siódmym roku polskiej niepodległości.

Osią opowieści o ponurym, zresztą krótkim okresie dziejów zawodowskich, jest sprawa publiczna. Na posiedzeniach komitetu budowy pomnika poznajemy starostę, właściciela sklepu kolonjalnego, właściciela drukarni, naczelnika szpitala, księdza, prowizora, a następnie poznajemy ich sprawy prywatne, snujące się wokół najważniejszego wydarzenia: obchodu ku czci... pomnika ku czci..., nazwanie ulicy ku czci...

I właśnie w tej sprawie pomnikowej królują duch salonu Plachtów. Miasto nie posiada dostatecznej ilości ochronek, nie ma nowej maszyny w elektrowni, która mogła zapewnić miastu światło przez całą dobę, lecz miasto wznosi pomnik. Ten zaszczyt ma spotkać Malczewskiego, który podobno urodził się w Zawadowie. Tak mówi „miejscowy ilustrowany Przewodnik”.

„Chociaż jedni biografowie uważają Warszawę za miejsce urodzenia naszego poety — powiada twórca „Przewodnika” — inni zaś upierają się przy Książnicy na Wołyniu, mamy jednak poważne powody, aby mniemać, że Malczewski urodził się w Zawadowie, gdzie matka jego zatrzymała się musiała w drodze z Warszawy na Wołyn, lub odwrotnie,

\*) TADEUSZ ŁOPALEWSKI: „Prowincjusze”. Powieść. 1934. Warszawa. Tow. wyd. „Rój”. T. Łopalewski jest autorem kilku sztuk teatralnych, a w roku ub. wystąpił z doskonałym przekładem rosyjskich bylin.

duka ciężko zraniono. Jeden z napastników schwytyany tłumaczy się tem, że nie wiedział, iż zaczyna osobę królewską, sądził bowiem, że król nie jeździ do domu schadzek. Ten fakt jest całkiem pewny, napastnik siedzi w areszcie zapewne jednak całe to zajęcie przytłumią. Podczas sesji sejmowej król miał także nieprzyjemną przygodę. Rząd bowiem, gdy pozostał w tyle za innymi w towarzysztwie hetmana Ogińskiego, padł

strzał i kula świsnęła tuż obok jego głowy. Przestraszony wrócił czempredzej do miasta.”

Możnaby złożyć to opowiadanie na karb dziennikarskiej plotki, gdyby nie to, że ów nocny napad powtórzył się niemal identycznie po niespełna czterech latach, i gdyby nie pośredni dowód, zawarty w liście Poniatowskiego do przyjaciela Anglika, ambasadora Józefa Yorke w Hadze, d. 20 marca, w dziesięć dni po napadzie:

„Może mam paść ofiarą szalu, aby ci, co przyjdą po mnie, skorzystali z wielkiego przykładu — i wielkiego przewrotu...”

Piątego sierpnia znów strzelano do króla, gdy odbywał przejażdżkę na Bielany, i nikt nie śmiał nawet przeszukiwać sąsiedniego lasu; dopiero Rosjanie zrobili to, lecz bezowocnie. Od początku zaś następnego roku, chociaż zamachów nie ma, nastroj zamachowy wciąż wisi nad Zamkiem

tak silnie, że Zawadow nie jest mocno osadzony w polskiej rzeczywistości. Wygląda zbyt mgliście, zbyt zakrawa na syntezę, której właśnie nie przeprowadzono. Dzieje Zawadowa nie mają barwy regionalizmu. Są właściwie bezimiennie. Prowincja i tyle. Ale gdzie, tego nie spostrzegamy. Nie spostrzegamy nawet, że to ma być prawie teraźniejszość. Autor wprawdzie tak zaznaczył na początku powieści, lecz powieść z drobnymi zmianami dekoracji możnaby przenieść w czasy przed wojenne.

Nie chwytamy w niej współczesności. Trąci myszką. Gdyby nie takie informacje, jak, że w mieście jest starosta, że wznosi się pomnik i t. p., nie moglibyśmy powiedzieć swobodnie — tak, jest to nasza prowincja sprzed kilku lat — nie moglibyśmy więc rozpoznać satyry. A to podcina satyrę u samego jej korzenia.

Właśnie z niedawna mamy inną powieść o małym miasteczku. „Ziemia Elżbiety” Gojawicyńskiego. Jakże tam współczesność tętni, jak wybucha w końcowej scenie ucieczki bezrobotnych do Niemiec. „Ziemia Elżbiety” jest epopeją miasteczką.

„Prowincjusze” właściwie są ograniczeni do t. zw. inteligencji. Niema rzemieślnika, niema drobnego sklepikarza, handlarza, biedoty miejskiej, okolicznego chłopca. I tu nasuwa się zestawienie: jaka tętni jest w pospolitych ludziach „Ziemia Elżbiety” i jak mdła jest elita zawodowa.

W tem miejscu Łopalewski może słusznie przypomnieć, że nie zapowiadał pełnego obrazu życia na prowincji, że chciał dać tylko ironiczne spojrzenie na „kwiąt” tej prowincji, na zastoiny i gmeranie, które tam zastępuje ruch.

Lecz właśnie w to biją zarzuty. Jeżeli „Prowincjusze” miały być satyrą, to nie są oparte o aktualność, są sztychem w mgłę, a nie w wyraźny cel. Jeżeli miały być syntezą prowincjonalnych nastrojów, studjum lepkości, prowincjonalnej siły wciąż

„Może mam paść ofiarą szalu, aby ci, co przyjdą po mnie, skorzystali z wielkiego przykładu — i wielkiego przewrotu...”

Piątego sierpnia znów strzelano do króla, gdy odbywał przejażdżkę na Bielany, i nikt nie śmiał nawet przeszukiwać sąsiedniego lasu; dopiero Rosjanie zrobili to, lecz bezowocnie. Od początku zaś następnego roku, chociaż zamachów nie ma, nastroj zamachowy wciąż wisi nad Zamkiem

gającej człowieka w nudę, w szary kierał i głupawę świętówki, to nie daly dostatecznej typowości, to nie daly dostatecznego zagęszczenia barwy, jaką Łopalewski malował swoje postacie. I wreszcie, jeżeli spojrzymy na „Prowincjuszy” jako na powieść ironiczną, w której już nawet nie idzie specjalnie o prowincję, ale o dysproporcję, zdazracając się nieraz między rzeczywistością, a dramatyzowaniem tej rzeczywistości przez jej bohaterów, to trzeba powiedzieć, że w powieści linja ironji jest przerywana.

Przypadek Zmody, popychadła, zahukanego człowieka, stojącego nagle do pojedynku, jest już na pograniczu ironizowania. Sytuacja Dumki, zabiedzonego urzędnika, który zabiegał około sprawy pomnika, a potem został zapomniany i odsunięty, również naprężenia wygląda na chwyt ironiczny i na ukryte współczucie. Tacy zaś, jak doktor, jak felczer Rojst, kochający się właściwie we własnej córce, jak młody Kamalski, wymknęli się spod obiektywu ironji. Nie wyszło im to na szkodę. Są żywi, dają powieści wartościowe karty, ale zaszkośli jednak całości.

Sprawili, że powieść jest niejednolita. Waha się niekiedy między ironicznym protokółem życia w Zawadowie, a między samem życiem. Kamalski niech posłuży jeszcze do jednej demonstracji. Jest to syn właściciela sklepu kolonjalnego, absolwent paryskiej uczelni. Z Paryża do Zawadowa, do prowincjonalnego kąta, do rodzinnego, prowincjonalnego kąta. Czuje się w tem temat powieści o prowincji. Jakaż konfrontacja! I jak można wydobyc psychikę życia prowincjonalnego przez obserwację reakcji Kamalskiego w zetknięciu się z polskim Zawadowem!

Ze ten temat jest ledwo dotknięty, ilustruje właśnie, jak daleko odbiegł Łopalewski od próby dania obrazu współczesnej naszej prowincji. różnokolorowych żarówek, ale odrębny aparat, pomysłu małżonków Richtigów. Układali go wspólnie w czasach, kiedy jeszcze były chwile, że ezuli się ze sobą po ludzku. Wynalazek polegał na tem, że wielkie okna werandy ułożono z wielu kolorowych szybek. Za każdą szybą była mała żarówka. Dużo pracy i czasu zabrało założenie drutów i kontaktów do każdej żarówki w taki sposób, żeby od wnętrza nie widać było supełów drucianych. A jeszcze więcej, aby te druty połączyć we wspólne węzły, w różne kombinacje gry świateł i aby to wszystko przyczepić do odpowiednich tasterów. Pracowali nad tem wspólnie z mechanikiem przez tydzień.

Czasy te należą we wspomnieniach Wiktorja i Michała Richtigów do najlepszych z ich dziesięcioletniego małżeńskiego życia. Jeszcze dziś — rzecz dziwna — jeśli co może wywołać chwilę ciepłej harmonji — to są tem „czemś” właśnie owe „sztuczne ognie”. Płynię z nich jakiś strumień uciechy, gdy się zasiądzie w niedzielę wieczorem na werandzie i może przekrecać w różny sposób kontakty. A tu płyną, wala się tłumy niedzielnej publiczności z miasta do Grudzińca i spodielabr, ani żyrandol, ani bukiel

wet uderza w powonienie”. Z głównego traktu myśli robi Richtig małe zбочenie. Skoro o zapachach mowa, nie może nie przyjść pod nozdrza (choćaby tylko w imaginacji) zapach skór: surowej, niegarbowanej, delikatnej cielecej, boks, szwro i amerykańskiej, kapanej w anilinie. Tę ostatnią skórę przywiozły ze sobą amerykańskie stacje wojskowe i obdzielali nią żołnierzy tak długo, dopóki jeszcze miały ochotę bawić się z nimi w karesy. Nowa odmiana skóry jednak została. Jakby ukryła się przerażenie: w groźnych chwilach wojny przeszła z frontu na tyły, do miast, które były bezpieczne. Od tego czasu utrzymała się już na stałe, wzbogacając nową odmianą szeroką gamę skórzanych zapachów. Nie jedną gamę! Całą klawiaturę, od najcieńszych, najdelikatniejszych, zeperfumowanych odmian Chypru aż do grubych i pospolitych na chłopskie cholewy.

Wśród takiej różnorodności, warto pracować, a praca owa znaczy coś jeszcze poza samym faktem robenia pieniędzy. Jakże wobec niej wygląda zakładanie rur gazowych i dremów pod namokłymi gruntami. Z pewnem zadowoleniem pomyślał Richtig, że w

swich cudnych latach musiał Jerzy Sobkowiak własnoręcznie instalować takie instrumenty, jakie w domu Richtigów mieszczą się na parterze za łazienką i osobny w piwnicy dla Celiny. A jednak?

Richtig odczuwa gorycz. Gorycz przedewszystkiem na myśl, że siebie okłamuje. Wszystko jedno, w jakim celu. Okłamuje siebie. Wszystkie wykrety i złośliwości na nie się nie zdadza: Sobkowiak, to jednak jest co innego. Prezes. Prezes „Towarzystwa Przyjaciół Upiększenia Grudzińca”. Cóż z tego, że tylko taki prezes. W życiu znaczy naprawdę nie to, co powinno mieć znaczenie, tylko to, co ludzie naprawdę poważają. Richtig wie o tej prawdzie bardzo dobrze. Taki naprzykład prezes sądu Sopicki: mała pensyjka, pięcioro dzieci, hemoroidy. I kto mu się kłania? Kanceliści ze sądu. A proszę popatrzeć na to, jak wyjeżdża swoją limuzyną Sobkowiak i jak sunie, jucha, naumyślnie pomatu przez ulicę Wolności?

Niedzielną przyjaźnią u Sobkowiaka mają szeroką sławę w mieście i budzą zazdrość tych, którzy na nich nie bywają. Richtig wie o nich przeważnie od żony. Ma ona dzień, kiedy piecze pędzne ciało swego męża, Michała, na żywym ogniu złośliwości, podsycanej po-

sagiem, który jeszcze dotąd zapisany jest w sądzie na osobnej karcie intabulacyjnej.

Jerzy Sobkowiak to najpoważniejsza figura w całym Grudzińcu. Jego dom, zupełnie przecie nie wyjątkowo wspaniały, wydziela ze siebie, jakby zapach prawdziwej pańskości. Co niedzielę odbywają się tam przyjęcia. Rozmaite. Dla różnych ludzi. Ale jest takie koto, które tam bywa stale. „Ach, cholera, — złości się nagle Richtig — darmozjady!”

Zły, przerywa rozmyslania. Przec chodzi koło drzwi jadalni i chylikiem wysuwa się do sieni. Wiktorja z niedzielnych nudów bawi się kotem od sąsiadów, którego podstępnie zwabiła słodkim głosem. Bawi — to znaczy, męczy bydlaką, tak, że ten drze się i ma ochotę drapać. „A, niech ją zadrapie do krwi!”

Sobkowiak nie ma żony, ma za to dorosłą córkę. Bardzo to oryginalne, gdy taki siwiejący na skroniach, ale bardzo jeszcze młodo wyglądający pan ma córkę, która właśnie wróciła z Paryża, a naprawdę wygląda, jakby uciekla z filmu, który szedł w zeszłym tygodniu w „Apollo”. Codzień popołudniu gra Sobkowiakówna w tenisa za parkiem, można się jej przypatrzeć do woli. Bez biletu i

bez pieniędzy. „Play” — pokrzywia się Richtig i otwiera drzwi do ogrodu.

Tu samopoczucie poprawia się bardzo wyraźnie. Dom niema zupełnie plotu; otoczony jest murewanymi balaskami z kolumną grecką co piąty słupek. Na kolumnach stoja urny, a w nich kwitną pelargonie. Gdy się stanie przy tych balaskach, można ocenić w całości dom. Niech sobie będzie Sobkowiak największą figurą w Grudzińcu, ale najpiękniejszy dom jest mój. Nasz — poprawia się niechętnie.

Dokoła domu biegną ścieżki, wyspane czerwonym piaskiem, dwadzieścia złotych cetrnar. Trawnik obwieszony jest jeszcze betonem. Spośród trawnika wyrastają oleandry. Wkoło nich rzędy kwiatusków. Na froncie ani jednego drzewa, aby nie przesłaniały figur na ścianie. Plasko-rzeźb — jak mówi Wiktorja. Przedstawiają one latających olbrzymów z wielkimi trąbami. Poza figurami widać jeszcze okrągłe słońce, gdy się pod wieczór zanurza w morzu. Dwie równe rzeźby znajdują się po obu stronach bramy wejściowej i wyglądają bardzo ładnie.

Bynajmniej na tem jednak nie koniec. W kątach całego ogrodu

Królewskim. Stanisław rzadziej wychodzi na miasto, częściej jeździ pod strażą. Naród co czyni odpowiedzialnym za okrucieństwa i łupiestwa Moskwy; wróg straszy go anonimami, napastliwimi wierzykami, trupiemi główkami na podrzucanych świstkach, a kiedy zajdzie wypadek, opinja widzi w nim zamach. 11 maja np., czyta my znów u Gerata, zdarzył się na zamku dziwny wypadek. Kominiarze czyścili komin w piecu pokoju, nad którym król ma swój gabinet. W chwili, gdy jeden z kominiarzy wstawił świecę do pieca, rozległ się odrazu tak silny huk wraz z takim wstrząśnięciem, że nietylko piec w dolnym pokoju rozpadł się na kawałki (mieszka tam kasztelan Karaś), ale zarazem wyleciała część podłogi w gabinecie królewskim. Król od tego wstrząsu spadł podobno z krzesła, nie odniósł jednak rany. Wielu śmieje się z tego wypadku, i twierdzi że nie było tam prochu, inni domyślają się szatańskich zamachów”. Nieborak kasztelan Karaś ledwo z familją swoją nie był zakopany — notuje generał Mokronowski w liście do hetmana Branickiego (Bibl. Ord. Krasińskich 4588). Taksamo przedstawia rzecz Repnin. Kiedyndziej w październiku r. 1770, jak wiemy z relacji saskiej, podczas przedstawienia komedji u Kadetów dwa żyrandole spadły tak blisko króla, że kilka pań towarzyszących mu odniosło rany.

To były przypadki bez związku z toczącą się wojną konfederacką. Ale jednocześnie za kulisami owej wojny dojrzał plan zamachu na osobę królewską, który chwilami przybierał charakter królobójczy. Jeżeli wierzyć parokrotnym zeznaniom znanego partyzanta, późniejszego Bierzyskiego, sam biskup Krasiński namawiał jego i innych do uśmiercenia intruza; sprzyśgali się na to spiskowcy z pod znaku podskarbiego Wessla; osobno, jakby nie chcąc pozostać w tyle za biskupem i podskarbisem, knuł zamach na życie Poniatowskiego wojewoda Mostowski, którą to tajemnicę zdradził królowi wtajemniczony spiskowiec, sławny później poeta Trembecki. Czyż dziwna, że później (pod koniec r. 1770) kiedy król wyczytał w pamiętnym uniwersale Generalności wezwanie do wszystkich dobrych obywateli, aby zmyli hańbę narodu we krwi tyrańa i uzurpatora, i kiedy jeszcze po roku poczuł żelazo zamachowców na głowie, — to uwierzył, że go chciało zamordować z premedytacją, i poczuł się bratnim duchem francuskiego króla męczennika, Henryka IV.

Rozbiór otworzył oczy zapaleńcom na wiele rzeczy, których przedtem nie rozumieli, łącząc króla i jego wrogów we wspólną niedoli. Odtąd już o zamachach na Stanisława Augusta nie słychać.